



114367  
NOV. 21  
Date: 1989

Photographer: **NIEDENTHAL**  
Subject: **WHAT'S NEXT?**  
Location: **ROBERT STEVENS**  
Competition?

Developing Instructions **E6 NORMAL**

Use separate envelopes for color and B&W film.  
Fill in total number of rolls in space at top.  
Number each roll on the leader or cassette.  
Key captions and processing to roll numbers.  
**COMPLETE CAPTIONS** should be typed on face of envelope.  
Longer captions should be typed on separate sheet and placed  
in envelope with press releases and other information. Point  
out important frames we should look for. When rewinding film  
please leave leader out of cassette and put roll number and  
processing instructions on leader.

Roll  
and/or  
Frame  
Number

# CHRIS NIEDENTHAL



ZAWÓD: FOTOGRAF

**E6 NORMAL**



Pasterz ze swoimi owieczkami. Marta, choć przechodzi tu ukradkiem, bardzo mi się podobała. Może dlatego właśnie tak się skrada! A w harcerstwie zdobyłem już sprawność wywiadowcy i mogłem – nareszcie – nosić długie spodnie



Rozdział 3

# HARCERSTWO, HORMONY I BĘBNY

Kolonia Zuchowa,  
Gloving Estate,  
Northwick Park,  
nr. Moreton-on-Marsh  
Glos, 25-7-61,

Kochana Mama,

Czy ty byś mogła mi  
przysłać więcej znaczków i  
kopert. Ja tobie się pytam  
to ~~z~~ bo to jest mój piąty  
list dzisiaj i jeden wczoraj to już  
jest 6. Ja się bardzo dobrze  
czuję tutaj. Pozdrów tatę  
i Krysię. P.S. Jak się "Pinkie  
and Perky"

Całuję mocno  
Krzysztof.

x x x x x x x x x x x x x x x x x x x x

**B**ylem polskim harcerzem, co znaczy, że należałem do ZHP. Było to takie harcerstwo jak w przedwojennej Polsce. Bóg. Honor. Ojczyzna. Nosilem piękną rogatywkę – coś zupełnie nietypowego na ulicach Londynu. Zaczynałem oczywiście jako zuch; jeździłem na kolonie, ale nie pamiętam, żebym się na nich czymś wyróżniał. Pamiętam raczej, że w listach do domu błagałem, by rodzice mnie stamtąd zabrali. Bardzo jednak przeżyłem pasowanie na harcerza, które odbyło się właśnie podczas wyjazdu na kolonię, dokładnie o północy, prawdziwą szablą, i do tego w obecności siostry, która była na pobliskim obozie i specjalnie ją sprowadzono, żeby uczestniczyła w tej uroczystości. Teraz sobie przypominam, że prawdopodobnie zostałem pasowany na harcerza



Przemarsz mojej drużyny (Dwójki) na zlocie harcerskim w Lilford Park, 1966. Kiedy kolega, bodajże Czarek, mnie zobaczył z aparatem, zaczął swoje wyglupy



Harcercz bicyklista, 1966

przez Naczelnika Harcerzy, harcmistrza Ryszarda Kaczorowskiego, przyszłego Prezydenta RP na Uchodźstwie. Jako harcerz czułem się już trochę dzielniejszy. Znowu jednak miałem problem z szortami: wolno nam było nosić tylko krótkie spodnie. Nie wiem, kto wymyśla takie durne przepisy ani po co. Dopiero kiedy zmieniłem drużynę (z Trójki przeszedłem do Dwójki) i zdobyłem sprawność wywiadowcy, mogłem odetchnąć z ulgą i włożyć wreszcie długie spodnie. Może miałem jakiś przesadny kompleks, kiedy zacząłem bardzo rosnąć – właśnie wtedy, na obozie harcerskim w 1965 roku, kiedy miałem niecałe piętnaście lat i wyjechałem z domu jako pulchny kurdupel z plecakiem, by wrócić po paru tygodniach jako sporo wyższy i szczuplejszy... rozhukany szczawik również z plecakiem.

No właśnie – te hormony. Zacząłem interesować się dziewczynami. Muzyką też. Zawsze uwielbiałem perkusję. Wstąpiłem do małego polonijnego zespołu rockowego, czy właściwie bluesrockowego. Zaczęły się próby, wciągało mnie to coraz bardziej. A mój tata, przedwojenny prokurator w Wilnie, miał dość jednoznaczny stosunek do muzyki rockowej jako takiej, a do zespołów rockowych szczególnie. Nie powiem, żeby był za. Udawałem więc, że idę na zbiórkę harcerską, i biegłem pograć sobie na perkusji. No nieładnie, nieładnie. Do tej pory mam wyrzuty sumienia.

A co my takiego graliśmy? Wspomniałem już, że był to zespół blues-rockowy, tak go sobie nazwałem, bo lubiłem taką właśnie muzykę... Nie wiem, czy pozostali członkowie zespołu nazwaliby naszą muzykę tak samo. Graliśmy standardowe utwory, ale nie tylko. Niektórzy z nas pisali własne utwory, i to wcale niezłe. Na gitarze basowej grał Jurek Maryniak, na gitarze prowadzącej Ted Klepacz (również śpiewał). Na keyboardzie śmigał Tomek Maramaros, a ja klepałem perkusję. O ile pamiętam, komponowali Jurek i Ted. Nieco później dołączyła do nas wokalistka, narzeczona Teda, Ela Różycka. Graliśmy na różnych polonijnych zabawach, na dyskotekach, w klubach należących do polskich parafii, ale czasami także w pobliskich pubach. Mieliśmy różne nazwy, ale na końcu nazywaliśmy się The Theodor Gunkel Band. Trochę dziwna nazwa, nic nieznacząca, tym bardziej że nikt z nas nie nazywał się Theodor Gunkel. Jurek Maryniak, będąc kiedyś w Wiedniu, zobaczył w centrum miasta sklep o takiej właśnie nazwie. A że po angielsku brzmiało to całkiem zabawnie, zdecydowaliśmy się ją przybrać.

Nie robiliśmy oszołamiającej kariery, ale nie o to chodziło: lubiliśmy po prostu grać. Jednak pewnego wieczoru, na jakiejś zabawie, w nietypowym składzie, bo grałem z braćmi Karskimi: Leszkiem i Zbyszkim, znanym jako Miś, a po angielsku Mish, odnieśliśmy mały sukces. Leszek był (i z tego co wiem, jest do tej pory) świetnym gitarzystą, a Miś gitarzystą basowym. Miś był też perkusistą, i to właśnie on nauczył mnie grać, a potem sprzedał mi swoją perkusję (za dwadzieścia funtów, i to jeszcze w ratach!). Kiedyś dostali propozycję stworzenia zespołu na jedną zabawę i do swojej dwójki zaprosili mnie. Lubię takie minizeespoły, jak kiedyś Cream albo Creedence Clearwater Revival. Trzy osoby, zwarte, mocne uderzenie. I wtedy na tę jedną noc nazwaliśmy się – o zgrozo – Luigi's Mafia. I – o jeszcze większa zgrozo – ubraliśmy się tak, jak sobie wyobrażaliśmy mafiosów. W czarne spodnie, czarne koszule i białe krawaty! Ale mimo to, powiem szczerze, świetnie tego wieczoru graliśmy. Po występie podszedł do nas pewien Anglik i zaproponował, byśmy zagraли w klubie, który reprezentował. Odmówiliśmy, może szkoda: klub nazywał się The Marquee – i w nim zaczynali swoją karierę The Rolling Stones.

Wtedy moimi idolami byli perkusiści Ginger Baker z Cream i Mitch Mitchell z Jimi Hendrix Experience. Piosenka *Hey Joe* Jimiego Hendrixa była dla mnie flagową melodią tamtych lat i od niej zacząłem swoją „karierę” perkusisty.



Nasz zespół bluesrockowy; gramy chyba na zabawie sylwestrowej, bo wyjątkowo włożyliśmy krawaty. Od lewej: okulary keyboardzisty Tomka Maramarosa, na gitarze basowej George (czyli Jurek) Maryniak, przy perkusji ja, na gitarze prowadzącej Ted (czyli Tadeusz) Klepacz. Mnie śpiewać nie pozwalano

Tyle tylko że tamci byli wspaniałymi perkusistami, a ja, co tu dużo mówić, byłem nikim i niczym. Lubiłem zawsze Charliego Wattsa z Rolling Stones, choć on być może nie jest postrzegany jako *crème de la crème* światowych bębniarzy, lecz jako twarde, w miarę równe tło Micka Jaggera i pozostałych Stonesów. Ale był on, i nadal jest, „esencją” Stonesów, a ta właśnie esencja zawsze mnie pociągała – i staram się ją w tym, co robię, wykorzystywać. Charlie Watts gra bez ozdobników, jest po prostu konsekwentną, w miarę równą lokomotywą zespołu. Tak też lubiłem grać: bez kwiatków, ale esencjonalnie. Czyli równo i mocno. I (już jako człowiek trochę starszy) lubię też tak gotować. Bez tych właśnie – niepotrzebnych moim zdaniem – ozdobników, bez nadmiaru ziół, egzotycznych dodatków. Najważniejsza jest dla mnie esencja, esencjonalny smak tego, co gotuję. Taka sama jest moja fotografia. Prosta, bez nowatorstwa, bez ekstremalnych efektów. Ale esencjonalna.

Wcześniej miałem styczność z muzyką podczas lekcji gry na fortepianie, na które zapisał mnie (a wcześniej moją siostrę) rodzice. Mieliśmy w domu pianino i zacząłem wybrzdąkiwać dwoma palcami słynną arię z *Traviaty*. Tak sam



z siebie. Geniusz, pomyślała mama. No i na tych pierwszych lekcjach i *Traviacie* się skończyło. Nauczycielka jakoś nie za bardzo podzielała mamy zdanie o rzekomym geniuszu.

Wtedy też, choć nie miało to nic wspólnego z hormonami, coraz bardziej zaczęło mnie ciągnąć w stronę fotografii. Swój drugi, już nieco lepszy aparat kupiłem jakiś czas wcześniej; na wymarzonego kodaka Colorsnap 35, za całe 12 funtów, zapracowałem, roznosząc gazety. To dopiero był aparat. Po pierwsze – małoobrazkowy, czyli mogłem robić aż trzydzieści sześć klatek na jednym filmie. Po drugie, mogłem ten aparat nastawiać! Przysłona: proszę bardzo – słońce, słońce z chmurką i, nie daj Boże, sama chmurka. Ostrość: nie ma problemu – głowa, dwie główki do pępka i góry skaliste. A roznoszenie gazet to bardzo ciężka praca. Zwłaszcza w niedzielę, bo wtedy były dwa razy grubsze (w przeciwieństwie do Polski, gdzie niedzielne wydania w ogóle się nie przyjęły). Wstawałem o jakiejś nieludzkiej godzinie, jechałem rowerem do sklepu, brałem wielką torbę pełną gazet, wsiadałem znowu na rower, spadałem z niego co chwila, bo przechył był nie do pokonania, i szedłem w końcu piechotą, popychając go. Na szczęście przeziębilem się ostro, a wtedy mama chwyciła za telefon i powiedziała szefowi, że jej synek nigdy więcej nie przekroczy progu jego sklepu. Ale aparat już miałem!



Uśmiech to wszystko! Moje podobizny z lat 60. i 70.



# CIĄGOTY DO POLSKI

**N**iemniej jednak ciągnęło mnie do Polski. Oczywiście tym magnesem nie był ani komunizm, ani socjalizm czy system ekonomiczny. W grę wchodziły raczej sprawy czysto towarzyskie. Dlatego też, kiedy dostałem propozycję – bodajże w 1971 roku – żeby w czasie wakacji letnich pilotować wycieczki do Polski, od razu skorzystałem z tej okazji. Nie były to wycieczki krajoznawcze – miałem raz na tydzień eskortować kilkadziesiąt osób jadących pociągiem z Londynu do Polski i z powrotem. Przejazdy te organizowała polonijna agencja turystyczna Fregata, a dział wyjazdów kolejną podlegał filii Carrierways. Ponieważ zawsze lubiłem podróżować koleją, taka wyprawa raz na tydzień do Polski i z powrotem nie była dla mnie męcząca. Podróżowała głównie Polonia z Anglii, do rodziny czy na wakacje, ale często też i Polacy z Polski. Moja praca polegała na tym, że musiałem tych pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób utrzymać w ryzach, żeby mi się nie porozchodzili, nie pogubili itd. Sprawdzałem, czy wszyscy mają paszporty, ważne wizy, pomagałem im przejść przez wszystkie kontrole. Pasażer mógł się zgubić głównie podczas podróży promem z Harwich do Hook of Holland. Nie dlatego, że ktoś mógł wypaść za burtę, tylko raczej zgubić się przy wysiadaniu z promu i przechodzeniu do pociągu. Narażone na to były głównie wiekowe osoby, nimi musiałem się szczególnie opiekować. Formalnie dla Polonii sprawy wizowe były trochę łatwiejsze: potrzebowali tylko wizy tranzytowej przez NRD i polskiej pobytowej. Polacy musieli mieć oczywiście angielską wizę oraz wizy tranzytowe przez Holandię i RFN. Firma Carrierways nigdy nie wysłała mnie w podróż próbną, czyli z doświadczonym przewodnikiem. Od razu wrzuciła na głęboką wodę i musiałem sobie sam poradzić. Każdy pasażer miał kuszetkę, mógł więc się położyć i spać, choć z tym

← Z moim pierwszym „prawie zawodowym” aparatem, radzieckim zenitem 3M, z obiektywem 135 mm, też radzieckim. O ile pamiętam, jestem na warszawskiej Starówce, 1970



Na promie między Holandią a Anglią, jako pilot wycieczek z Anglii do Polski lub odwrotnie, 1972. Dzisiaj byłby to pokaz mody jesienno-zimowej



było trudniej, bo przez NRD jeździło się głównie nocą i tam co chwila była kontrola, czyli budzenie. Z podróży tych został mi w pamięci dźwięk dzwonek podczas zamykania szlabanów na przejazdach, narastający i potem cichnący, kiedy wieczorem, o zmroku, pociąg pędził przez Holandię i RFN. Przejazd przez NRD nigdy nie był miły; wjazd w Helmstedt z RFN do NRD, potem kontrole graniczne w Berlinie Wschodnim, policyjne psy i lustra na peronie w Berlin Friedrichstrasse, potem jeszcze trochę NRD, aż w końcu dojeżdżało się do polskiej granicy. Tu służby były trochę sympatyczniejsze niż bijące rekordy nieuprzejmości enerdowskie, ale tylko trochę. Różnica polegała właściwie na tym, że łatwiej mi się było z Polakami porozumieć. Często bardzo drobiazgowo sprawdzano bagaże. Do Warszawy dojeżdżaliśmy około szesnastej, po czym miałem dzień lub dwa na pobyt z rodziną – i z powrotem do Anglii. Uwielbiałem tę pracę! Raz tylko zrobiłem coś, co do dzisiaj ciąży mi na sumieniu. Jadąc przez Holandię w stronę Polski, miałem trochę kłopotu z pewnym młodzieńcem, który zdążył się już czegoś napić. Nie bardzo mogłem sobie z nim dać radę, poprosiłem więc o pomoc konduktora, Holendra. A on na to, że musi podbitego chłopaka wysadzić na najbliższej stacji! Nie było to zupełnie po mojej myśli, ale konduktor usztywnił swoje stanowisko i rzeczywiście, przy najbliższej okazji, na jakiejś małej stacji, wyrzucił go razem z bagażem. Okropna sprawa! Był to Polak z Polski, miał więc tylko krótką wizę tranzytową holenderską, a prawdopodobnie i mało pieniędzy... Miałem straszne wyrzuty sumienia i do dziś myślę o nim i zastanawiam się, czy przez ten głupi incydent nie zmieniłem mu całego życia. Może jednak wybrał wolność w Holandii, może przez to został słynnym chirurgiem, śpiewakiem czy adwokatem, i dziś całowałby mnie po rękach za to, że został wyrzucony z pociągu. Niestety, obawiam się raczej, że miał przeze mnie spore kłopoty.

Tak jak latem zarabiałem sobie jako pilot, to zimą, przed Bożym Narodzeniem, kiedy ruch na poczcie znacznie wzrastał, pracowałem jako listonosz. Wtedy był taki zwyczaj, że na kilka tygodni przed świętami rewir każdego listonosza dzielono na bodajże cztery. Więc stały, prawdziwy listonosz miał trzech studentów do pomocy. Ciężka, ale przyjemna praca, tym bardziej że miało się miłe uczucie, że każdy mieszkaniec czekał na ciebie. Bo kto nie lubi otrzymywać codziennie dużej liczby listów i kart świątecznych? Poza samym roznoszeniem bardzo przypadło mi do gustu wrzucanie listów do przegródek na poczcie. Można

pomyśleć, że coś takiego może wykonywać dobrze wytresowana małpa. I tu bym się obraził! Na początku nie było to łatwe, ale wkrótce, kiedy poznało się tajniki pracy listonosza, stało się to bardzo satysfakcjonujące, kiedy coraz szybciej (a prędkość jest tu bardzo ważna, bo główny listonosz czekał, by wyjść) trafiałeś do prawidłowej przegródki. Jest to w pewnym, podstawowym sensie sztuka. I na końcu tej sztuki trzeba było jeszcze mądrze zaplanować samą trasę, by nie latać z jednego końca ulicy i z powrotem. Kolejność numeracji domów wydaje się prosta i logiczna – ale rzeczywistość często pokazuje co innego.

Uwielbiałem też letnie wakacje w Polsce. Pierwszy raz przyjechaliśmy tu całą rodziną w 1963 roku. Rodzice odczekali kilka dobrych lat po śmierci Stalina, zanim się odważyli odwiedzić kraj. Tata, który przed wojną czasami wsadzał komunistów do więzienia, prawdopodobnie bał się, że obecnie panujący ewentualnie mu się odwdzięczą. Ale nic się nie stało. Pamiętam moment, kiedy nasz pociąg wjechał na Dworzec Gdański w Warszawie (był to wtedy dworzec międzynarodowy), gdzie czekali bracia mamy z rodzinami. Nie widziała ich co najmniej dwadzieścia cztery lata. Byłem mocno zdziwiony widokiem międzynarodowego dworca w stolicy. Kilka peronów na krzyż, i to jakby w polu. Dużo więcej z tych wakacji nie zostało mi w pamięci, bo nie miałem nawet trzynastu lat, ale pamiętam, że jedna rzecz była pewna: chciałem tu wrócić.

Kolejna okazja nadarzyła się nie następnego roku, lecz dwa lata później, latem 1965. Właśnie wtedy, kiedy pojechałem na obóz harcerski jako średniego wzrostu pulchny kurdupel z plecakiem, a wróciłem smukły i, powiedzmy, wysoki. Miałem niecałe piętnaście lat i tym razem do Polski pojechałem już sam. Także pociągiem. Dałem sobie ze wszystkim radę i prawie od razu ruszyłem nad morze, do Ustki, gdzie czekali już na mnie na wczasach (dopiero w Polsce nauczyłem się tego słowa) młodszy brat mamy, Kazimierz Łyżwański, z żoną Inką, córką Renatą i synem Andrzejem. Piękne plaże, słońce, fajna młodzież, pierwszy pocałunek z dziewczyną – słowem nadzwyczaj udane wakacje! Tym bardziej udane, że po powrocie do Warszawy piękną białą skodą octavią okazało się, że wujek lubił bawić się w fotografa. Miał mały powiększalnik i kuwety. Brakowało tylko ciemni. Kiedy wszyscy domownicy wymyli już zęby itd., zamykaliśmy się w małej łazience i wtedy po raz pierwszy doświadczyłem tej prawdziwej magii fotografii. Przy czerwonej żarówce, w kuwecie z wywołaczem wyłaniały się na papierze postacie. Wówczas chyba połknąłem haczyk.

Przez następne lata przyjeżdżałem do Polski co roku, czasami jeszcze z rodzicami i siostrą, ale później już tylko ze swoim przyjacielem, Andrzejem Klimackim, tym, który kilka lat później podratowywał mnie w internacie. Jeździliśmy nad morze, do Sopotu, Jastarni, w góry do Zakopanego i do różnych innych miast. Andrzej kiepsko mówił po polsku, więc wszyscy się śmiali, kiedy lokomotywę nazywał „parówką”. Było to może nawet i dobre określenie, bo wtedy w Polsce jeździły jeszcze parowozy. Cudowne, czarne, buchające parą i dymem. Nie mieliśmy oczywiście dużo pieniędzy na takie wakacje, ale dzięki czarnemu rynkowi właściwie ich nie potrzebowaliśmy. Przywoziliśmy z Londynu parę płyt Beatlesów i wystarczyło je sprzedać, żeby mieć w sam raz gotówkę na pobyt.

W 1970 roku zdałem egzamin na prawo jazdy, w dodatku za pierwszym podejściem, i ruszyłem od razu z innym kolegą, George'em (czyli Jurkiem) Rozwadowskim, landroverem na wakacje znowu do Polski. Wszyscy oczywiście



Rodzice z siostrą w Tatrach, 1963. Była to Krysi i moja pierwsza podróż do Polski, a dla rodziców pierwsza od czasów wojny



wiemy, co to landrover, ale tym, którzy jednak nie wiedzą, wyjaśniam, że był to, i nadal jest, wspaniały brytyjski samochód terenowy. Nasz pochodził jeszcze z lat pięćdziesiątych, więc był już trochę starawy i bardzo prymitywny. Ale co za szpan! Już sama podróż była ciekawa, tym bardziej że samochód miał bardzo sztywne zawieszenie, co dało nam się porządnie we znaki przy przejeździe przez NRD, gdzie autostrady były jeszcze wyłożone betonowymi płytami pamiętającymi Trzecią Rzeszę. Każde ich połączenie to łomot i skok. Przejazd przez NRD zawsze był przygodą: w 1970 roku zmuszano zachodnich obcokrajowców do wymiany tablic rejestracyjnych na tranzytowe NRD-owskie, tylko po to, by na granicy z Polską znów je wymienić na oryginalne. Trzeba było mieć wyjątkowo chorą psychikę, by coś takiego wymyślić, a co dopiero wprowadzić w życie.

Miałem prawie dwadzieścia lat i można by dzisiaj powiedzieć, całe życie przed sobą. Studiowałem już fotografię, byłem na pierwszym roku, nie mając pojęcia, oczywiście, co dalej. Wiedziałem tylko, że jestem bardzo przywiązany do Polski, więc takie długie letnie wakacje były dla mnie niezwykle przyjemne. Przyjechałem wtedy z całym swoim sprzętem fotograficznym; zapakowałem wszystko w taką starą, niepozorną i obdartą skórzaną walizeczkę. Ten mój sprzęt to nie były jakieś nikony, pentaxy czy hasselblady. Miałem rosyjskiego zenita 3M z kilkoma, też rosyjskimi, obiektywami. Na studiach w Londynie bardzo to wszystkim dziwiło, no ale nie stać mnie było na nic innego, niby lepszego. A zdjęcia tym zenitem robiłem równie dobrze, co wszyscy inni swoimi japońskimi cudёнkami. Co ważniejsze, ten aparat zawdzięczałem drugiemu, starszemu bratu mojej mamy, Antoniemu, artyście malarzowi, który rok czy dwa wcześniej wyczuł moje kiełkujące zainteresowanie fotografią i kupił mi go w komisie na Nowym Świecie. Tak więc jeden brat mamy zaraził mnie magią ciemni, a drugi podarował mi narzędzie pracy.

Na tych wakacjach odczułem na własnej skórze, co to jest milicja obywatelska czy mówiąc ogólniej – reżym. Z błahego, oczywiście, powodu. Był wieczór, jechaliśmy landroverem ze znajomymi ulicą Madalińskiego w Warszawie, kiedy jakiś samochód, chyba moskwicz, zajechał nam nieco drogę. Wtedy my, „wesola młodzież”, zaczęliśmy krzyczeć w różnych językach i wymownie gestykulować. Kierowca moskwicza włożył raptem czapkę milicyjną i wyciągnął słynny lizak, a potem, machając nim, dał nam do zrozumienia, że mamy się zatrzymać. Nasza

wesołość nieco przygasła. Część pasażerów prędko, całkiem słusznie, się zmyła. W całym tym dość nieprzyjemnym zamieszaniu został Jurek, jego dziewczyna Małgosia Ostrowska (też z Londynu, bliska nasza przyjaciółka i sąsiadka) oraz ja. Nie wyglądało to dobrze. Milicjant przebieraniec zaperzał się i denerwował, kazał nam jechać na komendę milicji na pobliską ulicę Malczewskiego. W tym momencie zdecydowałem się dać dyla. Zorientowałem się, że przydałaby się nam pomoc. Jurek i Małgosia pojechali więc za milicjantem, a ja, niespostrzeżenie, po sprawdzeniu adresu w książce telefonicznej w jakiejś ulicznej budce, udałem się w kierunku ambasady brytyjskiej. Powiedziałem im, co się stało, gdzie będą mogli nas znaleźć, poprosiłem o pomoc, czym prędzej złapałem jakąś taryfę i w komendzie na Malczewskiego oddałem się w ręce władzy. Umieścili nas gdzieś w podziemiach, Jurek powiedział mi, że już poprosił o możliwość kontaktu z ambasadą. Milicjanci odmówili. Nic się nie martw, powiedziałem, zaraz zobaczymy, co się stanie. I rzeczywiście, wkrótce przyprowadzają do nas pana konsula. Milicjanci byli wściekli, bo przecież zabronili nam kontaktu z ambasadą, a tu raptem pojawia się sam z siebie przedstawiciel Wielkiej Brytanii i żąda spotkania z nami. Trochę to załagodziło sprawę, ale nie do końca. Milicjanci zabrali nam paszporty i kazali zgłosić się następnego dnia w pałacu Mostowskich. Tam otrzymaliśmy jakiś świstek poświadczający, że zatrzymano nam tymczasowo paszporty, i znowu byliśmy wolni. Jeździliśmy więc po Polsce z tymi świstkami, i dopiero pod koniec wakacji dzięki pomocy moich wujków udało się wszystko jakoś załagodzić. Ale przyznam się, że mieliśmy niezłego pietra przez jakiś czas.

W czasie podróży po Polsce zaimponowała mi zaradność Polaków: stwierdzenie „Polak potrafi” było jak najbardziej na miejscu. Leżąc sobie na kempingu w Augustowie, zauważyłem, że coś się stało z zawieszeniem naszego landrovera. Pękł jeden resor. Ten stary samochód był rzeczywiście prymitywny, ale właśnie dlatego, by brytyjski myśliwy w buszu afrykańskim mógł sobie z nim poradzić w każdej sytuacji.

Nasi polscy koledzy (Tomek Rodowicz z Warszawy, Andrzej Ostrowski z Wrocławia) powiedzieli, że nie ma sprawy, znajdziemy kowala i będzie po wszystkim. I tak się stało; kowal wykuł nam nowy resor i samochód mógł jechać dalej. Co prawda nie bardzo daleko, bo znowu coś się popsło, tym razem była to już poważniejsza sprawa i, co tu dużo mówić, bardziej niebezpieczna. Pękł sworzeń

na drążku prowadnicy, nie można było więc sterować samochodem. Przednie koła wyglądały zabawnie: każde odwrócone w inną stronę. Co na to nasi koledzy? Nie ma problemu. Znajdziemy warsztat traktorów Ursusa i tam nam pomogą. I rzeczywiście: sworzeń traktora był może ciut większy, ale w gruncie rzeczy pasował, więc został elegancko przyspawany i landrover był jak nowy.



Landroverem po Polsce, 1970

Jurek lubił drażnić się z polskim wojskiem: kiedy przejeżdżaliśmy obok jakiejś jednostki wojskowej, wyłączał kluczykiem silnik i po paru sekundach znów włączał. Przedwczesny zapłon powodował wielki huk w tłumiku. Żołnierze na warcie wyglądali na przerażonych, myśleli chyba, że ktoś ich ostrzeliwuje – ale nas już nie było. Mieliliśmy wtedy długie włosy, dłuższe niż większość polskich chłopców, zwłaszcza Jurek, więc czasami słyszeliśmy różne komentarze na temat swojego wyglądu. Najmniej przyjemne zdarzyło się, kiedy przechodziliśmy przez ulicę koło domu studenckiego Riwiera w Warszawie i jakiś facet zaczął wołać za Jurkiem „Manson, Manson!”.



Moja praca semestralna podsumowująca drugi rok studiów.  
Ośrodek dla starszych Polaków w walijskim Penrhos

Rozdział 8

# KONIEC STUDIÓW





**W**racając do Londynu i do studiów: choć były to studia fotograficzne, uczono nas wielu innych przedmiotów, między innymi historii sztuki, i nawet sami coś tam malowaliśmy. Musieliśmy oczywiście obowiązkowo zbudować sobie aparat otworkowy, takie małe pudełko albo skrzyneczkę, światłoszczelny, gdzie się na jednym końcu umocowywało w środku kawałek ciętej błony fotograficznej, a na drugim robiło małą dziurkę. Efekt był raczej nie do przewidzenia, ale zawsze ciekawy. Na pierwszym roku kazano nam sfotografować jajko. Niby prosta rzecz, ale tak naprawdę nikomu nie udało się tego dobrze zrobić. Każdy wyprawiał jakieś cuda z oświetleniem, i nigdy jajko nie wyglądało jak jajko. Okazało się, że wystarczyłaby jedna tylko lampa, bardzo miękka i rozproszona, i jajko byłoby jajkiem. Uczyliśmy się także filmowania kamerą 16 mm, co było dla mnie ciekawe, owszem, ale pod warunkiem, że to ja mogłem być operatorem kamery. Niech kto inny reżyseruje lub nagrywa dźwięk, ja się nie bawiłem, jeśli nie mogłem być za kamerą. Szkoła dysponowała też dużym sprzętem studyjnym, czyli aparatami na błony w formacie 4 × 5 cali. Jakość obrazu takiego aparatu była oszołamiąjąca, a poza tym można było manewrować przodem i tyłem aparatu, tak żeby budynek, kiedy fotografowało się architekturę, nie leciał do tyłu, lecz stał prosto tak, jak architekt przykazał. To wszystko było bardzo ciekawe, ale tak naprawdę ciągnęło mnie wyłącznie w stronę fotoreportażu. Przyznam się, że nie znosiłem tych wielkich studyjnych aparatów. I nie przez to, że były duże, ciężkie i skomplikowane. Nie, one wymagały czarnej szmaty na głowie, żeby można było cokolwiek zobaczyć na matówce. A ta czarna szmata powodowała, że włosy się przetłuszczały. I tego, przyznam się szczerze, tygrysy nie lubią. Podpisuję się więc pod tym stwierdzeniem, że zostałem fotoreporterem, bo nie lubiłem, kiedy mi się przetłuszczały włosy.

W 1971 każdy miał na zakończenie roku wykonać jakiś własny projekt. Wymyśliłem sobie, że pojedę na kilka dni do Walii do miejscowości Penrhos, gdzie znajdował się polski dom starców. Właściwie obóz starców, bo w czasie drugiej wojny światowej mieścił się tu obóz wojskowy i budynki były bardziej podobne do baraków niż do domów mieszkalnych. O dziwo, byłem tam kilka lat wcześniej z rodzicami na wakacjach, bo część budynków była przeznaczona właśnie dla polskich turystów! Polskich w znaczeniu przedstawicieli powojennej Polonii, oczywiście. Załatwiłem wszystkie formalności i zamieszkałem tam po to, by sprawdzić się jako fotoreporter. Wiedziałem, że bycie fotoreporterem to nie tylko sprawa techniczna, że nie wystarczy mieć dobry sprzęt i potrafić go używać. Być fotoreporterem to także być człowiekiem, który potrafi wejść komuś obcemu w życie tak, żeby ten ktoś tego nie poczuł. I żeby potem nie narzekał. Czyli że trzeba było wziąć głęboki oddech, zapomnieć o wstydzie lub strachu i jednym zdecydowanym krokiem ruszyć do działania. I na tym właśnie polega magia mojego zawodu: że potrafimy, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wejść w czyjeś życie, a ten ktoś nie wyrzuci nas za drzwi z wielkim hukiem.

Wybrałem parę osób, do których starałem się zbliżyć, licząc na to, że pokażą mi, jak mieszkają, czym się interesują, co robią całymi dniami. Niektórzy z nich mieli swoje małe grządki za domem i pracowali tam całymi dniami. Inni przesiadywali na ławkach, rozmawiając i przeżywając po raz kolejny swoje dawne życie w Polsce, podczas wojny... Śmiem stwierdzić, że ci, którzy mieli grządki, byli najszczęśliwsi! Robiłem cały czas notatki i po powrocie do Londynu napisałem tekst do całego materiału, żeby było wiadomo, o co chodzi. Myślę, że praca była całkiem udana; otrzymałem pozytywne noty od nauczycieli. Ale najważniejsze dla mnie było to, że utwierdziłem się w przekonaniu, iż chcę zostać fotoreporterem.



Okładka mojej pracy o staruszkach



Trzy lata studiów szybko przeleciały. Jeszcze w trakcie nauki zacząłem robić małe tematy na zlecenie od najbardziej dynamicznego nauczyciela w naszej szkole. David Hodgson prowadził własną agencję, Features International. Produkował reportaże, raczej trywialne, łącząc zdjęcia z tekstem i sprzedając je do brytyjskiej prasy, tej o niższych lotach. Reportaże te wędrowały potem w świat – agenci w Szwecji, Niemczech, Japonii i wielu innych krajach brali je w komis i sprzedawali u siebie. Nic wielkiego, ale zawsze coś...

Na zakończenie studiów zrobiłem jeszcze projekt o Auschwitz, wykorzystując swoje częste podróże do kraju. Załatwiłem sobie w dyrekcji obozu pozwolenie na fotografowanie prawie wszędzie, gdzie tylko chciałem. Pamiętam, jak zakradałem się na strychy budynków obozowych, gdzie turyści i zwiedzający nie mieli dojścia, i z duszą na ramieniu oglądałem wyryte na ścianach rysunki. Nie wiem, czy wykonali je więźniowie, ale jestem pewien, że niektóre tak. Sam na tych strychach czułem się bardzo nieswojo, mogę nawet powiedzieć, że się bałem. Za plecami czułem obecność duchów, aż strach było się odwracać. Zdawałem sobie sprawę z ogromu zła, jakie działo się tam zaledwie ćwierć wieku wcześniej, i moje nerwy były nadzwyczaj wyczulone. Nie wytrzymałem długo na tych poddaszach w samotności. Ale w Auschwitz udało mi się zrobić jedno zdjęcie, z którego do tej pory jestem zadowolony. Na fotografii widać podwójne ogrodzenie obozu, z drutem kolczastym, który był kiedyś pod wysokim napięciem. Co kilkanaście metrów słupy, niektóre z oświetleniem. Postanowiłem, że będę czekał tam tak długo, aż jakiś ptak zechce wylądować na latarni. Miało to oczywiście symbolizować pragnienie wolności, mimo słupów z drutem kolczastym. Trochę naiwne może, ale skuteczne. Czekałem więc długo, bardzo długo, aż w końcu się doczekałem. Gołąb zaczął wykonywać manewr lądowania dokładnie w tym miejscu, gdzie to sobie zaplanowałem, a ja już miałem go na celowniku. Było to właściwie moje pierwsze zdjęcie tak przemyślane i zaplanowane. Mógłbym tu dodać, że i „ostatnie”, ale prawdopodobnie mijałbym się z prawdą, bo może jeszcze kilka takich fotografii by się znalazło. Pracując przez następne, powiedzmy, czterdzieści lat jako fotoreporter, wiedziałem, że rzadko kiedy można zaplanować konkretne ujęcie. Bo nami kieruje żywioł, zdarza się oczywiście, że mamy jakiś mglisty pomysł na fotografię, ale prawda jest taka, że potem porywa nas dość skutecznie rzeczywistość.



Dla studentów i nauczycieli temat ten okazał się ciekawy, bo nigdy nie mieli okazji zwiedzić byłego obozu koncentracyjnego – co dopiero tak znanego jak Auschwitz. Inny materiał, który przedstawiłem na zakończenie roku, to seria prywatnych zdjęć jednego z moich bohaterów Formuły 1, Grahama Hilla. Prawdziwy brytyjski kierowca wyścigowy starej szkoły. Tweedy, czapeczka, wąsik à la Errol Flynn... Byłem u niego w domu, potem na polu golfowym i na koniec sfotografowałem go w jego prywatnym samolocie, kiedy odlatywał na jakieś spotkanie. Zrobić takie zdjęcia to jedno, ale dotrzeć do takiej osoby to drugie, właściwie o wiele trudniejsze. Była to dla mnie świetna lekcja w tropieniu kogoś, bardzo pożyteczna w życiu dziennikarskim. Nie miałem w tym żadnego doświadczenia, a jednak Hilla namierzyłem i sfotografowałem. Jak się później okazało, historia znalazła tragiczne zakończenie w listopadzie 1975 roku, kiedy Hill wracając swoim samolotem z Francji, rozbił się we mgle na polu golfowym przy podchodzeniu do lądowania. Zginął wraz z kilkoma innymi pasażerami na pokładzie.

Zdałem końcowe egzaminy, napisałem pracę dyplomową zatytułowaną *Czy fotoreportaż ma przyszłość?*, otrzymałem dyplom i zanim wróciłem do domu, poszedłem, bodajże po raz pierwszy, do pobliskiego pubu na piwo z kolegami i koleżankami z roku. Piwo jak piwo, wtedy w ogóle go nie piłem, raczej cydr, czyli sok jabłkowy ze śladami alkoholu. I właściwie tyle się widzieliśmy. Do dyplomu nawet nie zajrzałem i nie sądziłem, by kiedykolwiek przy szukaniu pracy był mi potrzebny. Fotografą nie wynajmuje się ani nie przyjmuje do pracy na podstawie dyplomu, lecz na podstawie jego fotografii w portfolio i umiejętności. Byłem zdumiony jednak, kiedy już jakiś czas po ślubie, czyli pewnie z pięć lat później, moja żona zajrzała do dyplomu i powiedziała zdziwiona: O! Widzę że ukończyłeś studia jako najlepszy! Nie dodała jednak: Kochany mój koteczku, jakiś ty mądry!, ale to jestem w stanie jej wybaczyć. Ważniejsza była moja reakcja, kiedy wyrwałem jej z rąk ten nieszczęsny dyplom i na własne oczy stwierdziłem, że rzeczywiście ma rację! Nikt w szkole przy rozdawaniu dyplomów nie raczył mi powiedzieć, a co dopiero pogratulować, że zdobyłem pierwsze miejsce. A ja też nigdy do niego nie zajrzałem.

## Czołg pod kinem Moskwa z Czasem apokalipsy to fotograficzna ikona stanu wojennego.

Zdjęcie zrobione z dystansem i sercem. Przez chłopaka, który przyjechał do Polski w 1973 roku z aparatem i brytyjskim paszportem. Przez zauroczonego tym krajem dziennikarza, relacjonującego dla świata wydarzenia zza żelaznej kurtyny. „Obserwowałem rewolucje w Pradze, Berlinie i na Węgrzech. Ale moje serce pozostało w Gdańsku” – wspomina udział w sierpniowym strajku w stoczni. Dla „Newsweeka”, „Time’a”, „Spiegla” fotografował powstanie Solidarności, pierwszą wizytę Papieża, stan wojenny i upadek komuny. Wszystko z zawodowym dystansem, ale z coraz większym uczuciem. W jego wspomnieniach tamtych wydarzeń jest tylko to drugie. Przyprawione sporą dawką angielskiego sarkazmu z nutką polskiej nostalgii.

Chris Niedenthal urodził się w Londynie i tam wychował w polskiej rodzinie. Mieszka w Polsce od prawie czterdziestu lat.

**W tej opowieści wymieszane są zdjęcia, słowa i uczucia. Świat pogodny i świat zdeprawowany, który wyszedł z formy. Jakie to smutne, że ZOMO jest takie fotogeniczne...**

Janusz Głowacki

*Najlepiej, choć spontanicznie, podsumował moje dotychczasowe życie zawodowe sam Lech Wałęsa. Podczas olimpiady w Salt Lake City w 2002 roku spotkaliśmy się w trakcie jakiegoś wywiadu. Powiedział mi wtedy coś bardzo prawdziwego: „Słuchaj, Chris, ty się jakoś w ogóle nie rozwijasz. Ja byłem elektrykiem, potem związkowcem, noblistą i na koniec prezydentem Polski – a ty cały czas nic tylko fotografujesz i fotografujesz”. Miałeś rację, Lechu.*

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

cena 59,90 zł (w tym VAT)

ISBN 978-83-928431-9-1



9 788392 843191

MECENAS



PATRONAT MEDIALNY

